

LEONARD TURKOWSKI

ZIEMIA I NIEBO

POWIEŚĆ O ŻYCIU I PRACY

MIKOŁAJA KOPERNIKA

POJEZIERZE

OLSZTYN

1971

KSIĄŻKA ZALECONA PRZEZ MINISTERSTWO OŚWIATY
I SZKOLNICTWA WYŻSZEGO DO BIBLIOTEK
SZKÓŁ ŚREDNICH

Projekt okładki
BOLESŁAW WOLSKI

Redaktor
SWIETŁANA KRUK

Opracowanie typograficzne
BOHDAN ŁUKASZEWICZ

Korekta
KRYSTYNA EISELE

„POJEZIERZE”

Olsztyn, al. Zwycięstwa 32

Wydanie pierwsze. Nakład 7000+200 egz.

Objętość ark. wyd. 14,8. Ark. druk. 20,75.

Papier offsetowy kl. III, 70 g form. 61×86 cm

Oddano do składania 9 listopada 1970 r.

Podpisano do druku 1 kwietnia 1971 r.

Druk ukończono w kwietniu 1971 r.

OLSZTYŃSKIE ZAKŁADY GRAFICZNE

Zam. nr 1826. E-8/31

CENA ŻŁ 30,—

Księga pierwsza
1473-1491

Siostrzeniec biskupa

Życie we Włocławku ułożyło się pomyślniej, niż tego spodziewał się Mikołaj w chwili rozłąki z domem rodzinnym. Włocławek nie był przede wszystkim miastem gorszym od Torunia. Miał dwa rynki, ratusz, bogate domy i kościoły no, i — co najważniejsze — górującą nad miastem katedrę z zamkiem biskupim. Mniej więc tu widywało się mieszczan i chłopów, więcej natomiast duchownych i służby biskupiej. Barwnie wystrojeni i dobrze uzbrojeni trabanci, pilnujący zamku, kręcili się gęsto po ulicach, wstępowali do gospód, często nawet wyprawiali burdy po pijanemu. Przez miasto przewijali się także liczni podróżni, wędrujący lądem i wodą. Nad Wisłą wprawdzie jeszcze wtedy nie było porządnego portu, zazwyczaj stało tylko kilka łodzi rybackich, lecz znaleziono dogodne miejsce, do którego w razie potrzeby mogły dobrać i barki.

Szkoła katedralna znajdowała się w zamku biskupim. Sale miała obszerne. Książ mieściło się w nich sporo, były nawet mapy świata i różnych krajów, a co najbardziej Mikołaja cieszyło — przyrządy gwiazdziarskie służące do pomiarów nieba.

Mieszkali chłopcy w kurii kanonika kujawskiego, pana doktora Wodki, który ważny był na biskupim dworze, bo pełnił służbę przy ekscelencji Piotrze z Bnina jako jego medyk i astrolog. Jego przewielebność chorzał od dawna i potrzebował stałej opieki lekarskiej. Znaczenie Mikołaja Wodki nie tyle jednak z bliskich stosunków z biskupem się wywodziło, lecz głównie z wielkiego wykształcenia, jakie zdobył. Ponoć swego czasu w samej Bolonii na uniwersytecie wykłady miewał.

W obszernej kurii wydzielone były izdebki dla służby: pachółka i gospodyni. Tę ostatnią kanonik odesłał po przyjeździe obu braci Koperników na strych, a izdebkę po niej im przeznaczył. Było rzeczą zwyczajną, że u kanoników mieszkali uczniowie szkoły katedralnej. Prawie każdy z nich utrzymywał kogoś z krewnych lub dzieci przyjaciół. Wśród krewnych Wodki nie było młodzieży, więc chętnie przyjął siostrzeńców Łukasza Waczenrodego, z którym przyjaźnił się podczas studiów w Krakowie i w Bolonii. Był bardzo serdeczny, choć surowy i zaraz następnego dnia po przyjeździe regulamin im wyznaczył: kiedy wstawać, kiedy na mszę, do szkoły, na nieszpór, kiedy znów do posiłków i do snu. Andrzej na te porządki nosem kręcił, ale Mikołajowi one nie przeszkadzały, tym bardziej że razem z wymaganiem szły i dobrodziejstwa. W kurii dobrze żywiono, izdebka była przestronna, jasna i sucha, kanonik zaś pomagał w nauce, prowadził wieczorami pouczające rozmowy, a nawet niekiedy księgi przynosił, do których nie mieli dostępu inni żacy.

Szkoła katedralna we Włocławku znajdowała się pod opieką sławnej akademii w Krakowie, która przysyłała tu swoich magistrów i bakałarzy. Było to studium particulare, przygotowujące do dalszej nauki w studium generale, o którym Mikołaj po kryjomu marzył. Razem z nauczycielami napływały do Włocławka nowinki i zmiany, jakie zachodziły na szerokim świecie. Ten powiew nowych czasów przychodził także z innymi ludźmi, którzy przybywali na dwór biskupi i uczestniczyli w urzędanych przez Piotra z Bnina biesiadach.

— To w pałacach italskich mieszczan zaczęła rozwijać się nowa kultura — objaśniał wieczorem doktor Mikołaj Wodka w swej izbie przy blaskach polan płonących na kominku. — Już teraz nie Kościół pierwszy tam, lecz miejska magnateria. Ona objęła patronat nad naukami i sztukami, które wyzwalają się spod religijnych wpływów Kościoła. Mówią, że religia religią, a sztuki sztukami. Otóż bogaci mieszczenie, na przykład Medyceusze

we Florencji, utrzymują na swych dworach poetów i artystów, którzy zamiast służyć Kościołowi i zabiegać o zbawienie duszy ludzkiej, sławią życie ziemskie człowieka, a nawet jego ciało. Duszą niech się duchowni zajmują, prawią oni. I od ludzkich właśnie spraw nazywają ową nową kulturę humanizmem.

— A przecież w tejsze Italii, w Rzymie, sam ojciec święty ma swoją siedzibę — wtrącił Mikołaj. — Cóż on na to?

Kanonik rozłożył ręce i zmarszczył czoło. — Różnie ludzie mówią. Może i sam ojciec święty zżyma się na to wszystko, ale na dworze papieskim wielu jest dostojników. Różni kardynałowie i dygnitarze rozmaicie sobie poczynają. Niektórzy podobno zupełnie świeckie dwory utrzymują, artystów na nich pełno i nawet białogłów. Takie ponoć czasy. I nie mówiłbym wam tego, gdyby nie to, że i tak słuchy o tym was dochodzą od młodszych magistrów. Zresztą, przyznam się wam, że niektóre zmiany chętnie widzę. Wiecie, z jakim zamiłowaniem gwiazdździarstwem się param. Otóż powiem wam szczerze, że mi te astrologiczne sztuki brzydą i wolałbym, tak jak niektórzy matematycy, zająć się raczej śledzeniem ruchów ciał niebieskich i ich pomiarami, niż horoskopy wystawiać. Podobno niektórzy uczeni przypominają starożytną teorię, że to nie Słońce dookoła Ziemi wędruje, lecz na odwrót — Ziemia dookoła Słońca.

— Czcigodny panie doktorze! — wybuchnął Andrzej zgorszony, choć po prawdzie rzadko czym się gorszył.

Mikołaj milczał cierpliwie, ale pełen napięcia czekał dalszego ciągu. Mistrz znowu rozłożył ręce. Mówił:

— Nie znalazł się taki, co by to udowodnił. Ale ponoć niektórzy szukają dowodów. I wszystko jedno, jaki będzie owoc tych dociekań, to zawsze lepiej, by ludzie w takim kierunku gwiazdździarstwo rozwijali, niż tylko horoskopami się zabawiali. Mówią, że jest to niezgodne z religią. Ale jeśli w boskiej mocy i w boskim interesie leży utrzymać starą teorię Ptolemeusza, to i ją utrzyma. Podobnie, widzi mi się, wszystkie nauki powinny ra-

czej badaniami się zająć niż powtarzaniem utartych prawideł. Choćby i medycyna, którą ja się też param. W Italii medycy zwłoki ludzkie kraja, by rozpoznawać i opisywać cząstki ciała ludzkiego.

Obaj chłopcy równocześnie jęknęli z przerażenia.

— Tak, moi drodzy. Większość dostojników kościelnych krzywo na to patrzy, ale ja, choć osoba duchowna, muszę przyznać, że to jest potrzebne, jeżeli sztuka medyczna ma służyć skutecznie, a nie tylko stare recepty powtarzać.

Doktor Wodka westchnął po tych słowach i milczał przez chwilę w zamyśleniu. Nie śmieli mu przeszkadzać. Opanowani byli wciąż jeszcze grozą na myśl o krajaniu trupa. Kominek ledwie słabe błyski już wydawał, więc Andrzej kilka polan na żar rzucił. Mikołajowi ojciec zmarły przypominał się i smutek go ogarnął. Ale gdy ponownie ogień rozbłysnął na kominku, powróciło zainteresowanie nowymi wieściami. W dodatku i mistrz ożywiwszy się zaczął mówić dalej:

— Musi chyba runąć stary system gwiezdny Ptolemeusza. Żyje w Krakowie polski astronom, Wojciech z Brudzewa, który upadek systemu tego przepowiada. Moim zdaniem muszą też obrócić się w popiół zapomnienia stare prawdy medyczne Hipokratesa, Galena i Avicenny. Przepowiadają zresztą i to różni mędracy w stolicy naszej, choćby ów Jan Ursinus czy Maciej Miechowita. Jeszcze te stare nauki wykłada się na uniwersytetach, lecz i poszukuje się nowych dróg.

— Artyści jednak właśnie do starożytnych czasów wracają — powiedział odważnie Mikołaj, bo takich informacji udzielił mu niedawno jeden z bakałarzy. Zresztą przed laty mówił coś o tym krakowski mincerz, a ich wuj Maciej Szyling, gdy przyjechał do Torunia. Przypominał mu się także ów sławny, ni to Italczyk ni to Polak, Kallimach, który nie tak dawno we Włocławku na dworze biskupim bawił. On to właśnie najwięcej wszelkich nowinek ze świata nad Wisłę przynosił.

— A tak — potwierdził Wodka. — Artyści sięgają do wzorów starożytnych. Malują i rzeźbią nawet ciało człowieka, niczego nie skrywając i wystawia się te dzieła na widok publiczny, nawet w kościołach nowo budowanych. Architekci budują je zaś na wzór dawnych świątyń greckich i rzymskich. W pismach natomiast poeci myśli swe upiększają wspomnianiem starożytnych bożków, Apollina, Wenery i innych. W ostatnim zaś czasie zaczynają poezje w gminnym języku tworzyć.

— W gminnym? — zdziwił się znowu Mikołaj. — Przecież gminnej mowy nijak zapisać się nie da łaćńskim alfabetem.

— U nas tego jeszcze nie ma, polscy poeci nie po polsku lecz po łacinie piszą. Ale italscy zapisują swoje dzieła w mowie ludu pospolitego.

Ogień na kominie wesoło błyskał. Chłopcom i straszne, i dziwne były te wszystkie wiadomości, ale przecież interesowały ich, a nawet cieszyły. Mikołaj nie wątpił, że to co nowe, jest i słuszne, że trzeba raczej ku przyszłości wzrok obracać, niż ku temu co minęło. W takim duchu wykładali młodzi magistrowie wrocławscy, choć niektórzy starsi zapatrzeni byli wciąż jeszcze w przeszłość. Mikołaj rad był temu, że i doktor Wodka myśli po nowemu, nie miał jednak żadnej pewności co do tego, jakie zapatrywania ma wuj Łukasz, który będzie niechybnie poglądy młodych Koperników badał przy pierwszej lepszej okazji. O poglądy wuja nie śmieli jednak pytać swego gospodarza.

Wspomnienie wuja pociągało za sobą zawsze myśl o śmierci ojca. Właśnie wtedy, po pogrzebie, widzieli Łukasza Waczenrodego po raz ostatni.

Czemu ojciec umarł? Czemu zostali sierotami? — powracało pytanie. Stało się to wszystko przez podróże ojca, bo w samym Toruniu jeszcze nie tak bardzo śmierć kosiła ludzi tego straszego roku, jak gdzie indziej. Zaraza zaczęła się szerzyć na dobre dopiero wtedy, gdy rodziciel leżał już na cmentarzu.

Wyjechał w dobrym zdrowiu gdzieś daleko, do innych części

Prus, za interesami. Przysłano mu właśnie ze Śląska większy transport miedzi, z Krakowa sukna zagraniczne, a z Gdańska jeszcze inne rzeczy. Nie starczało miejsca na przechowywanie wielkich ilości towaru, a zbyt był w Toruniu ograniczony. Stary Mikołaj Kopernik nie lubił pośredników, wolał nabywać bezpośrednio od wytwórców lub kupców zagranicznych i sprzedawać prosto do rąk kramarzy. Takiego handlu nauczył się za młodu w Krakowie i taki prowadził, ściągawszy do oswobodzonego spod panowania Krzyżaków Torunia. Podróżował więc wiele i to nie tylko dla interesu; pociągał go świat, o którym lubił po powrocie do domu dzieciom opowiadać. Bywał w Malborku, Elblągu, Chełmnie i innych miastach. A wieści o zarazie szły od wielu dni i mama załamywała ręce w obawie, że żywiciel rodziny już nie wróci do domu. A gdy zarazę przywlekli wędrowcy i do Torunia — pilnowała dzieci, nie puszczała z domu nawet do szkoły, jedynie do kościoła w niedzielę pójść pozwalała, dowodząc, że Bóg do domu swego choroby nie dopuści.

To był straszny poranek, gdy ojca po całonocnej podróży przywieziono na wymoszczonym słomą wozie, opatulonego derami i kozuchami. Niesiono go jak w worku do komory na pierwszym piętrze. Dwaj pacholki trzymali kłęb der z jednej, dwaj z drugiej strony. Położono chorego na świeżo zaścielonym łożu i stara służąca Wilfryda zaczęła krzątać się wokół niego, mama zaś w te pędy posłała po medyka.

Było dużo bieżączki i jeszcze więcej lamentów. Dzieci do ojca nie dopuszczano, czasem tylko Mikołaj dojrzał go przez szparę w otwierających lub zamykających się drzwiach. Medyk przychodził w dominikańskim habicie, bo dominikanie stali się wielkimi przyjaciółmi Koperników od czasu, gdy ojciec siebie, mamę i dzieci zapisał do trzeciego zakonu. Aż pewnego ranka razem z medykiem przyszedł jeszcze drugi dominikanin. Gdy zamknęły się drzwi za komorą, w której leżał ojciec, mama wyjaśniła, że przyszedł z ostatnią posługą.

Pogrzeb odbył się zaraz dnia następnego, bo rajcy miejscy nie pozwalali na dłuższe przetrzymywanie zwłok. Niewiele osób odprowadzało ojca na wieczny spoczynek. Przyjaciele grzebali własnych bliskich, poza tym dosyć było strachu. Z najbliższych krewnych mieszkała zresztą w Toruniu tylko ciotka Krystyna z wujem Tilmanem. Wysłano zaraz umyślnego do Włocławka, gdzie wuj Łukasz bawił przejściowo razem z całym dworem biskupa gnieźnieńskiego. Wuj nie mógł oczywiście zdążyć na pogrzeb, ale jego przybycie — nawet spóźnione — uznano za konieczne.

Przyjechał dopiero w kilka dni po pogrzebie. Wuj Łukasz właściwie nocował tylko u Koperników. Zjadał rankiem śniadanie, zarzucał wierzchnie odzienie na swą wysoką postać, obciążał je i prawie zbiegał po schodach. Przybył niby to w związku ze śmiercią ojca, ale nawet z nikim porządnie nie porozmawiał, tyle co pogłaskał dzieci po głowie i powiedział czasem: — Bądźcie dzielne, moje maleństwa, wuj opiekuje się wami, nie stanie się wam żadna krzywda.

Aż oto nadszedł dzień najważniejszy. Mama poleciła, by wszyscy zebrali się w izbie przy stole. Czekano niecierpliwie, co to będzie, aż do chwili, gdy z góry zszedł wuj Łukasz. Był dostojnie odziany, aż raziły wzrok fioletowe wypustki sutanny. Oczy miał bystre, świdrujące człowieka aż do samego środka.

— Słuchajcie, co wam wuj powie — rzekła uroczyście mama.

Wuj wsparł dłonie o stół, zlustrował wnikliwym wzrokiem wszystkie po kolei twarze i chrząknawszy głośno zaczął mówić:

— Postanowiliśmy z waszą mamą o waszym losie. Ja będę wam zastępował zmarłego ojca. I chociaż długo mnie tu nie będzie, pamiętajcie, że czuwam nad wami bez przerwy. Będę zresztą starał się jak najczęściej was widywać. Musicie więc sprawować się grzecznie, Panu Bogu na chwałę, bym się gniewać na was nie musiał.

Tu spojrzął na starszą Kopernikównę:

— Wiadomo, że Basia marzy o życiu klasztornym.

Andrzej roześmiał się nie w porę, jakby miał z czego, ale zaraz zamilkł. Mama spojrzała na niego wzrokiem gromiącym. Basia zarumieniała się i przymknęła skromnie oczy.

— Już wiem, gdzie Basię umieszczę. Pójdzie do Chełmna i tam do cystersek wstąpi. — I znów po przerwie gość na młodszą siostrę wejrzenie przeniósł. — Kasi nie klasztorny żywot jest pisany. Słyszałem ci ja, że się do niej niejaki Bartłomiej Gertner z Krakowa kwapi, który przyjeżdża do Torunia jako kupiec.

— Mamo, ja nie chcę! — zapiszczała Kasia, zakrywając twarz rękami.

— Cicho bądź, jak wuj mówi — skarciła ją mama.

Ale Kasia ręk od twarzy nie odejmowała. Nie przeszkadzała jednak więcej mówiącemu, więc ten kontynuował swój wywód:

— Zameścia wstydzic się nie potrzeba. Młody Gertner szczerze obgadywał sprawy z waszym ojcem nieboszczykiem, świecie Panie nad jego duszą. To dobry kupiec, niegłupi i dosyć majątny. Dla zameścia z Kasią gotów przenieść się z Krakowa do Torunia. A sami rozumiecie, jak teraz gospodarz przyda się w domu. Ślub więc odbędzie się, gdy tylko okres żałoby po ojcu waszym minie. Miejsca w domu i dla młodego męża wystarczy. Matka wasza będzie miała tym samym byt jako wdowa zapewniony. Będę i ja sam nad tym czuwał. A wreszcie chłopcy — mówił dalej, westchnąwszy, jakby pod ciężarem tylu spraw. Spojrzał jednak nie na chłopców lecz w okno. — Byłem ja przed przyjazdem do Torunia w Poznaniu, a potem we Włocławku. Widziałem się w tej podróży z moim dobrym przyjacielem, Mikołajem Wodką z Kwidzyna, kanonikiem, który zamierza w niedalekiej przyszłości do Włocławka się przenieść. Jak do tego dojdzie, to jemu los chłopców powierzę, bo lubi młodzież i umie sobie z nią radzić. On może do włocławskiej szkoły katedralnej was weźmie. — Dopiero teraz spojrzał wuj na Andrzeja, a następnie na Mikołaja. — Tymczasem w domu chłopcy niech zostaną i da-

lej chodzą do parafialnej szkoły świętojańskiej. Jak Kasia za Gertnera wyjdzie, to on aż do czasu wyjazdu do Włocławka chłopcami pokieruje, zawsze to mężczyzna, a chłopaki potrzebują męskiej ręki. A teraz po moim wyjeździe wuj Tilman raz po raz tu zajrzy, by chłopcami się zainteresować.

W Mikołaju mieszały się uczucia: radość z lękiem. Oto otwierały się przed nim pierwsze w życiu widoki na poznanie innego miasta i innych ludzi. Ale też więcej można nauczyć się w szkole katedralnej niż w parafialnej. W ostatnim czasie porwała go astrologia, której uczono starszych scholarów. Opowiadał mu kiedyś jeden z nich o mądrej księdze, jaka znajdowała się przy Świętym Janie pod opieką samego proboszcza Hieronima Waldena. Ten sam starszy kolega wymieniał kiedyś także nazwiska polskich gwiazdźarzy, a wśród nich Mikołaja Wodki, którego ponoć inaczej Abstemiusem nazywają. Mieszkać u takiego uczonego to zaszczyt byłby wielki. Czy to się udać może?

A jednak stało się. Braciom dobrze było we Włocławku. Szczególnie Andrzejowi, który o przyszłości nie myślał i cieszył się tym, co dzień niósł. Wypuszczał się często do miasta i Mikołaj domyślał się, że do dziewczek chadza. Tak przynajmniej wynikało z jego słów, gdy czasem winem podchmielony przychodził po kryjomu do izdebki. Mikołaj nie wtrącał się do tego, co robi starszy o trzy lata brat, bo wiedział, że ten prawem starszeństwa będzie się osłaniał. Wiódł więc własne, według swego przekonania szczęśliwe życie. Gdy brata nie było w domu, zagłębiał się w księgach użyconych przez kanonika i marzył o ogromnej bibliotece, jaką ponoć jego ekscelencja biskup Piotr z Bnina miał w swych komnatach. Gdyby choć zobaczyć te księgi, choć tytuły ich przeczytać — to by już wielkie dla niego było szczęście.

Marzenie spełniło się.

Jeszcze pół roku przedtem, w pełni zimy, było słyhać, że wuj Łukasz w Rzymie bawi; takie wiadomości przekazał chłopcom od jego ekscelencji biskupa ich opiekun. Aż tu w połowie lip-

ca któregoś popołudnia przed wieczerzą doktor wpadł do izdebki z wieścią, że następnego dnia obydwaj przed oblicze Piotra z Bnina stawić się mają, bo ten ma osobiście oznajmić im coś na temat wuja. Andrzeja nie było w domu, pomyślał więc Mikołaj, jakie to szczęście, że nie zaraz trzeba iść na audiencję. Zapytał więc tylko, czy czcigodny mistrz nie wie, jakie to mają być wieści, bo może niedobre?

Wodka uśmiechnął się tylko życzliwie.

— Dobrze, synu — powiedział. — Ale poręczyłem, że sam pary z gęby nie puszcze. Mogę ci tylko oznajmić, że Łukasz Waczenrode z Italii już powrócił.

— I zobaczymy go? — zawołał Mikołaj po trochu z radości, po trochu z niepokoju, a pewnie i z odrobiną lęku.

— Być może — rzekł doktor w zadumaniu, kładąc mu rękę na barku. — Tego nikt z nas nie wie. Ale gdzież to brat twój? — spytał niespodzianie.

Mikołaj zmieszał się. Nie wiedział, jak odpowiedzieć, by brat się nie narazić i skarżypytą nie zostać.

— Nie wiem — odparł po prostu, bo i naprawdę nie wiedział, a dopiero po chwili, widząc zdziwione oblicze opiekuna dopowiedział: — Może w kościele — i zarumienił się po uszy, bo nie umiał kłamać.

Andrzej wpadł tylko na wspólną z gospodarzem wieczerzę, wytłumaczył się byle czym i jak po wieczerzy wyszedł, dopiero przed samym zamknięciem domu wemknął się podchmielony do izdebki. Gdy go Mikołaj o jutrzejszym posłuchaniu u biskupa poinformował, odpowiedział tylko: — Dobrze, dobrze, idźmy spać — i rzucił się na swe łóżko, by natychmiast zachrapać.

Ekscelencja wyznaczył audiencję na następne poobiedzie. Wykładów akurat tego dnia nie było, więc przez całe przedpołudnie chłopcy przygotowywali się do rozmowy z nim, czego ich opiekun pilnował osobiście, wpadając do kurii w każdej wolnej chwili. Musieli odświętną swą odzież dokładnie wyczyścić, do łaźni

pójść, włosy do ładu doprowadzić, przed kanonikiem wiele razy na próbę paradować. Gdy zjedli obiad, kazał im Wodka sięść w izbie nad księgami i przy lekturze oczekiwać stosownej chwili. Mikołaj powtarzał sobie teksty Cycerona, które zaczęły właśnie czytać w szkole.

Abstemius wpadł wreszcie z wypiekami na policzkach i oderwał ich od stołu groźną zapowiedzią: — A jeno mi się dobrze spiszcie, żebyście mi wstydu nie zrobili! I wcale się nie strachajcie, bo ekscelencja też człowiek i serce ma dobre.

Prowadził ich potem do gmachu, gdzie zamieszkiwał Piotr z Bnina. Weszli do ogromnej sieni, której ściany obwieszane były obrazami, przedstawiającymi biskupów z ogromnymi pastorałami w rękach. Nad najokazalszymi drzwiami wisiał wielki, rzeźbiony krucyfiks, a z boku obok nich stała misa mosiężna z wodą święconą. Tych drzwi pilnowali dwaj gwardziści w błyszczących strojach, z halabardami w rękach.

Z sąsiednich mniejszych drzwi wyszedł niepozorny wikariusz i prosił do środka. Poszli za nim przez salę, w której nie było niczego więcej prócz wielkiego, długiego stołu i rzeźbionych krzeseł, a potem weszli do drugiej, mniejszej, której ściany były zastawione regałami pełnymi książkami. Tam ekscelencja siedział przy stole — cały w fiolecie, lecz bez infuły i pastorału. Oderwał wzrok od rozrzuconych książek i uśmiechnął się na widok wchodzących. Wstawszy przywitał się z kanonikiem Wodką, a potem po kolei podawał rękę chłopcom. Mikołaj przyklęknął na jedno kolano, dotknął biskupiej dłoni i złożył pocałunek na pierścieniu z relikwiami. Potem wszyscy siedli na wysokich krzesłach. Nikt nie śmiał odezwać się, dopiero Piotr z Bnina pierwszy zaczął mówić. Mikołaj wpatrywał się w jego szlachetną twarz, nad którą zwieńczyła się korona siwych włosów. Oczy biskupa niespokojnie przeskakiwały z gościa na gościa. Ale cała postać była spokojna, pełna godności i majestatu.

— Winienem ja was dawno poznać, drodzy chłopcy, bo wuj

wasz, czcigodny Łukasz Waczenrode, nie tylko doktora Wodki lecz i moim przyjacielem jest. Rządziej się co prawda widywaliśmy, lecz znamy się dobrze. Ale nie myślcie, że waszymi postępkami w nauce i w ogóle losami waszymi nie zajmowałem się. Nie mogłem jeno znaleźć chwili sposobnej, by was zaprosić do siebie. Wiem, że w nabożeństwach udział bierzecie gorliwie i z zapałem garniecie się do nauki. Wiem także, że młodszy Mikołaj jest pilniejszy. Chodź no tu, Andrzej.

Brat wstał z krzesła i stanął tuż przed biskupem. Ten położył rękę na jego barku. Powiedział:

— Widzisz, jesteś o trzy lata starszy, a jeno o jeden rok brata w naukach wyprzedzasz. Pilnuj się, by cię w przyszłości nie prześcignął.

Andrzej opuścił głowę rumieniąc się. Równocześnie i Mikołaj zasmucił się. Pomyślał, że za to porównanie Andrzej mścić się na nim będzie i znów mańkudem przezywać. Toteż ucieszył się, gdy po chwili przerwy biskup dalej tak zaczął mówić:

— Ale głowa do góry, chłopcze. Wkrótce szkołę naszą ukończysz, a dochodzą mnie słuchy, że jednak wcale nie najgorzej. Nie martw się więc. Pragnę tylko, byś nie wśród ostatnich czy środkowych chadzał, lecz zawsze na czele, wśród pierwszych. Taki jest twój wuj i z niego obaj bierzcie przykład. No, siadaj.

Ekscelencja sięgnął ręką do stołu i ujął leżący na nim arkusz papieru. Trzymał go przez chwilę przed sobą i patrzył w oczy to jednemu, to drugiemu z młodych Koperników, uśmiechając się tajemniczo.

— A teraz wam oznajmię, com miał oznajmić — powiedział, wymawiając sylaby powoli, oszczędnie. — Otóż dostałem list od biskupa warmińskiego, jego ekscelencji Łukasza. Tak, moi drodzy. Wuj wasz donosi mi, że czternastego lutego zmarł biskup warmiński, świętej pamięci Mikołaj Tungen, a po pogrzebie kapituła obrała jego następcą waszego szlachetnego wuja, który

akurat w Rzymie bawił za sprawami publicznymi. Tam ojciec święty Innocenty VIII wybór kapituły zatwierdził w maju. Nie wiadomo, co prawda, jak najjaśniejszy pan Kazimierz ustosunkuje się do wyboru, bo kapituła nie uzgodniła z nim kandydatów, zresztą chciał na warmińskim stolcu syna swego osadzić. Tuszę jednak, że biskup Łukasz nie utracił łaski królewskiej i sprawa nie nastreczy trudności. Dla syna królewskiego wiele innych poważnych stanowisk znajdzie się w państwie. Tak więc można być dobrej myśli, zresztą wuj wasz donosi, że na dwudziestego drugiego lipca ingres swój w Lidzbarku przewiduje. Jest już pewnie na miejscu, choć pismo swoje w drodze, gdzieś pod Poznaniem wygotował. No, ale co wy na to, żacy?

Chłopcy zaniemówili. Spoglądali po sobie czekając, kto pierwszy ośmieli się zabrać głos. Wreszcie Andrzej, chcąc widocznie starszeństwa swego dowieść, odezwał się wstawszy z krzesła:

— Bardzo się cieszymy, wasza ekscelencjo. Niełatwa to sprawa zostać biskupem, trzeba mieć i kanoników i ojca świętego i samego monarchę za sobą.

— Tak, tak — potwierdził biskup. — Ale i to jeszcze nie wystarczy. Trzeba i rozum mieć odpowiedni i szlachetnym być człowiekiem. Taki jest wasz wuj i muszę wam powiedzieć, że dobrze się stało, bo Warmia potrzebuje władcy takiego, co krzyżactwu będzie się opierał i stronę Korony trzymał. No, ale nie wasza w tym głowa. Oto teraz, co najważniejsze dla was, list od wuja waszego, do siostrzeńców, pisany własną ręką, który mam wam przekazać. No, chodź teraz ty, młodszy, jak ci tam, Mikołaj.

To mówiąc, biskup Piotr wyciągnął rękę z arkuszem w stronę Mikołaja.

Mikołaj usiadł, nabrał tchu i zaczął łaćński tekst czytać płynnie i wyraziście:

„Niech Wam Bóg w Trójcy Świętej Jedyny błogosławi, moi ukochani siostrzeńcy. Mam nadzieję, że Wam Jego Ekscelencja

Biskup Kujawski Piotr z Bnina wszystko wprzód o moim awansie powiedział. Przystępuję przeto od razu do rzeczy i polecenia moje wyjawiam. Jak mi od waszego Serdecznego Opiekuna Pana Doktora Wodki wiadomo, Andrzej tej jesieni wrocławskie studium particulare ukończy. Polecam mu, by z dyplomem swym matkę i siostrę w Toruniu odwiedziwszy, do Lidzbarka niezwłocznie przybył, gdzie go najprawdopodobniej sekretarzem swoim uczynię, bo mi na tym stanowisku — jak sama nazwa na to wskazuje — osoba umiejąca sekretów dochować, zaufana, życzliwa i posłuszna jest potrzebna. Gdy się na stolcu biskupim na dobre usadowię, wtedy pomyślę i postanowię, jaki będzie dalszy los Andrzeja. Mikołaj zaś niech wrocławską szkołę kończy i życzę mu, by w nauce takie sukcesy nadal odnosił, o jakich się dotychczas dowiadywałem. O dalszym jego losie następnej jesieni postanowimy. Polecam was dalszej miłosiernej opiece Boga w Trójcy Świętej Jedynego.

Wasz kochający was wuj Łukasz”.

Zapadło milczenie. Andrzej oczyma na prawo i na lewo łypał, dumny, że już dobre stanowisko ma zapewnione. Mikołaj oczy pokornie spuścił, wstydził się zawsze, gdy o nim była mowa. Panowie uśmiechali się życzliwie. Odezwał się wreszcie biskup:

— No dobrze. Bogu dziękujcie, że tak możnego opiekuna po śmierci rodzzonego ojca macie. Uczcie się pilnie, byście zasługiwali na jego łaskę. Ty, Mikołaju, ponoć najbardziej interesujesz się gwiazdziarstwem?

— Tak — przyznał cichym głosem.

— To dobrze. Astrologia rzecz użyteczna, horoskopy we wszystkim się przydają, wspierają każdą naukę. I medycynę i politykę i teologię nawet. Jest to umiejętność także bardzo popłatna, czcigodny doktor Wodka niejednen grosik na niej zarobił.

Roześmiali się wszyscy — każdy inaczej: biskup i Andrzej rubasznie, kanonik z zawstydzeniem, Mikołaj z zadumą. Po rozmowach z kanonikiem i magistrami, po lekturach dochodził po-

woli do wniosku, że stawianie horoskopów nie jest praktyką najbardziej godną człowieka uczonego, i sam Wodka tylko gwoli zaspokojenia ludzkiej natarczywości je sporządzał.

Rozmawiali z biskupem jeszcze przez chwil parę. Potem pożegnali go i sami powrócili do domu, bo ich opiekun został jeszcze na zamku.

Mikołaj niósł za pazuchą list od wuja. Parzył go ten papier. Gdy rozstał się z Andrzejem, poszedł szukać Stacha, z którym zaprzyjaźnił się niedawno. Musiał z nim porozmawiać, musiał z kimś podzielić się nadmiarem przeżyć tego jednego krótkiego dnia.

Stacha przygarnął doktor Wodka. Chłopak pochodził ze wsi i chciał się uczyć. Kanonik podczas którejs podróży przypadkiem z nim się zetknął i przywiózł ze sobą. Nie mając nikogo bliskiego zapisał do szkoły i umieścił w bursie, za co ten odwdzięczał się różnymi usługami. Chłopcy byli w tych samych mniej więcej latach i polubili się od razu, z Mikołajem zaś nawet zaprzyjaźnili.

Cały dom i obejście obiegłszy Mikołaj znalazł Stacha w szopie przy rąbaniu drew i zaraz wdał się w długie opowiadanie o przebiegu całego dnia. Przyjaciel cierpliwie wszystkiego wysłuchał, ale na koniec słysząc o biskupie Warmii zdziwił się, bo sądził, że tam daleko na północy Krzyżacy wszędzie panują.

Mikołaj w odpowiedzi uraczył go dłuższym wywodem.

— Tam przed wiekami Prusowie mieszkali, lud bardzo podobny do Litwinów, co przez króla Jagiełłę z nami się połączyli. Prusowie ci byli poganami i pewnie dlatego książe mazowiecycy nie mogli długo z nimi dojść do ładu. Znalazł się wreszcie jeden, imieniem Konrad, który sprowadził zakon Panny Marii, by braciszkwie nawrócili tych to pogan na wiarę świętą. Niemiecycy zakonnicy z krzyżami na białych płaszczach dostali od księcia Konrada Ziemię Chełmińską, by stamtąd wyprawy misyjne czynić. Aliści oni więcej z sobą przywieźli mieczów i to-

porów niż krzyży i różańców. Z Prusami prowadzili prawdziwą wojnę, wybijali ich, zagarniali ich osady i zaczęli budować ce-glane zamki warowne, by panować nad zdobytymi ziemiami. Jest jeszcze u naszej mamy taka pruska starucha Wilfryda, co wszystko krzyżackie zło pamięta. Niewiele jest takich jak ona w Toruniu, choć na innych ziemiach pruskich żyją jeszcze i pracują razem z osadnikami. A osadnicy ci zastąpili wyciętych Prusów, przybывая z Mazowsza. Do miast zaś i do grodów ściągnęli niemieccy mieszczenie, by biednych ludzi wyzyskiwać. Tak ci to powstało krzyżackie państwo. Próbowali polscy królowie rozgromić je, król Władysław Jagiełło wielką bitwą pod Grunwaldem z nimi wygrał, ale nic z tego nie wyszło. Dopiero po długiej wojnie trzynastoletniej Krzyżacy musieli zrezygnować z niektórych ziem. Wtedy i Toruń został poddany polskim królom i ziemie biskupa warmińskiego, którymi nasz wuj teraz rządzić będzie.

— A ty skąd o tym wszystkim wiesz? — zawołał zdumiony Stach, gapiąc się na przyjaciela z podziwem. Widać było, że wreszcie uwierzył w to, iż nie wszędzie na północy Krzyżacy rządzą.

— Wiem, naturalnie, że wiem — chwalił się Mikołaj z dumą się prostując. — Uczyłem się o tym już w szkole świętojańskiej w Toruniu. A i w domu nasłuchałem się sporo, bo nasz dziad bił się z Krzyżakami. Widziałem też w naszym mieście króla na własne oczy.

— Na własne oczy? — zdumiał się znowu Stach.

— A jakże.

I zaczął Mikołaj opowiadać, jak to było.

— Miłościwie nam panujący król Kazimierz Jagiellończyk przybył do Torunia, bo jakieś tam sprawy z powodu Warmii właśnie były, a także w sprawie tychże Krzyżaków, co niegdyś Toruniem rządzili. Jeden z bakałarzy w szkole nam to tłumaczył. Przybył więc nasz pan król Kazimierz do Torunia. Około

święta Trzech Króli to było, śnieg sypał przez parę dni i miejscy pachołkowie ulic uprzątnąć nie dali rady, więc pokryli je gałęziami choiny. Przy kościele Świętego Jana ustawiono tron paradny, z samego aksamitu i złota. Szczęściem na sam wjazd króla niebo rozchmurzyło się i śnieg przestał padać. Bartłomiej Gertner, mąż mojej siostry Kasi, od samego rana wystrojony, poszedł do ratusza. Ja z mamą, Andrzej z Kasią wmieszaliśmy się w uliczny tłum. Krzyk jeno słychać było ogromny, głuszony biciem dzwonów i szczęką końskich kopyt. Potem moc rycerstwa w chrześzczących zbrojach, z kolorowymi pióropuszcami, wjechało na koniach. Trąby potężne grały. Najjaśniejszy pan także w zbroi był i wyglądałby jak każdy inny rycerz, gdyby nie futrzany płaszcz zarzucony na ramiona, gdyby jego rumaka dwaj strojni paziowie nie prowadzili za złote uździenice.

Siedzieli w drewnutni długo, mrok już zapadł; Stach kazał sobie opowiadać o tym, co Mikołaj widział i słyszał w Toruniu. Prowokował go pytaniami i ledwie jedno opowiadanie skończyło się, domagał się następnego.

— A ową trzynastoletnią wojnę pamiętasz? — zapytał z wy piekami na twarzy.

— Gdzież tam! — zaśmiał się Mikołaj. — Skończyła się na parę lat przed moimi narodzinami. Ale pozostały do dziś ruiny zamku, od którego zburzenia owa wojna zaczęła się. W nim to zakonni władcy zamieszkiwali. Zburzywszy go mieszczenie toruńscy załogę krzyżacką wzięli na ratusz do niewoli. Ruin w mieście nie uprzątnięto, a ojciec mój tłumaczył to tym, że pozostawiono je ku pamięci narodowi, by nie zapomniał o nie tak dawnym krzyżackim ucisku. Biegaliśmy po tych ruinach, były w nich rozmaite kryjówki i żadne z dzieci nie myślało już o tym, jacy mieszkali w nich ciemieżcy i jak wielkie znaczenie miał atak toruńskich mieszczan na władców w zakonnych habitach. Ponoć wonczas nocą na wieżach murów miejskich zapłonęły ognie, którym odpowiedziały dalekie blaski. Był to sygnał

spiskowców, do których i dziadek nasz należał. Na rozkaz dowódców z Torunia ogarnęło cały kraj orężne powstanie. Krzyżacy w zamku poddali się wywieszając białą chorągiew. Odprowadzanych do ratusza tłum chciał zatłuc, aż musieli ich obronić strażnicy. Lud więc na murach jeno zemstę wywarł, burząc je gniewnie. Ale krzyżacka władza dopiero po trzynastu latach wojny w proch upadła, wtedy ostatecznie w mieście zapanował spokój. Musiał o ten spokój sam wielki mistrz krzyżacki na toruńskim ratuszu błagać, korząc się przed zwycięzcami.

— To i dziadek twój z Krzyżakami wojował? — zawołał Stach, cały w wypiekach.

— Wojował — potwierdził Mikołaj. — Na imię mu było Łukasz, jako i temu wujowi, co biskupem teraz został. Dziad był ojcem jego i ojcem mamy mojej, która biskupa siostrą jest — Waczenrodówną z domu. Otóż dziadek...

— Żyje jeszcze?

— Nie, pomarł dawno już. Był w Toruniu starszym nad ławą sądową, bardzo go ludzie szanowali. Przystąpił do Związku Pruskiego, który poddał się pod panowanie najjaśniejszego pana króla Kazimierza. Zaczęła się wtedy owa trzynastoletnia wojna. Wtedy właśnie dziad nasz pod Łasinem rany odniósł. Całe zaś swoje mienie oddał na kosztą prowadzenia wojny. Nie doczekał jednak, nieborak, zwycięstwa; nie mógł prowadzić spokojnego bytu w wolnym już od Krzyżaków Toruniu. Popadł jeszcze na koniec w niełaskę samego najjaśniejszego pana Kazimierza Jagiellończyka, bo zbyt powolna dlań była ta wojna, a król obraził się, że go Waczenrode do jej przyśpieszenia ponaglał. A przecież dziadek z gorliwości to robił. I króla przecie kochał. Toteż zmarł ze zmartwienia.

— Być nie może! — krzyknął Staszek. — Patrzcie, taki pan miejski, a jakie trudne życie miał. Więc widać, że cała wasza rodzina z Torunia wywodzi się — sprowokował znów Mikołaja do dalszego opowiadania.

— Nie — odparł nagabnięty. — Z Torunia pochodzi rodzina Waczenrodów, to jest rodzina naszej mamy. Świętej pamięci ojca mego przodkowie we wsi Koperniki na Śląsku rodzili się, a potem w samym Wrocławiu mieszkali, zanim przeprowadzili się do Krakowa. Tam ojciec mój, Mikołaj jak i ja, wyuczył się handlowego rzemiosła. I oto podczas owej wojny z Krzyżakami począł uwolnionym z zakonnej niewoli miastom dostarczać towary. Często przybywał z Krakowa do Torunia, aż wreszcie w nim się osiedlił.

— To i ojciec twój do zwycięstwa nad Krzyżakami się przyczynił, choć nie mieczem.

— A tak — potwierdził Mikołaj z dumą. — A gdybyś ty wiedział, jak wuj Łukasz Krzyżaków nie lubi. Pamiętam te dni, gdy przyjechał do Torunia po śmierci ojca naszego. Miał już wtedy kilka kanonii i innych godności, ponoć swego czasu był nawet rektorem szkoły świętojańskiej, do której chodziliśmy z Andrzejem w Toruniu. Bo wuj długi kawał życia studiom poświęcił, uczył się w Krakowie, w Kolonii, w Bolonii i w Rzymie samym, blisko ojca świętego. Ostatnimi zaś czasy służył przy ekscelencji arcybiskupie gnieźnieńskim, Zbigniewie Oleśnickim.

— No, a teraz sam biskupem został.

— Ano tak, został.

Zadumali się. I tak ich znalazł w drewnitni doktor Wodka. Spojrzał na jednego i drugiego, potem na stos narąbanych drew i rzekł wreszcie kiwając głową:

— A który to z was służbie robotę odbiera? Widzę, żeście sobie upodobali i zajęcia dla parobków przeznaczone i miejsca, które raczej kurom przystoją. Nie posądzałem o to biskupiego nepota. A na ciebie, Stachu, w bursie z zamknięciem drzwi czekać nie będą.

Zerwali się na równe nogi. Tymczasem i kanonik ruszył w stronę kurii, więc Mikołaj podreptał za nim, wciąż jeszcze w ręce trzymając list wuja. Dogonił mistrza i bardziej z wew-

nętrnej potrzeby niż z chęci uspokojenia go powiedział głosem cichym lecz uroczystym:

— Oto mówię waszej łaskawości, że odtąd jeszcze pilniej będę nauki szkolne pobierał. Może dorównam wujowi... jeżeli to w ogóle możliwe...

— Możliwe — zapewnił krótko doktor, zatrzymał się, podniósł głowę i patrzył w gwiazdy.

Mikołaj jego śladem wzrok ku niebu skierował. Skrzyło się gwiazdami, a zza horyzontu wypływał właśnie księżyc.

Włocławski zegar

Ostatnia jesień, zima i wiosna we Włocławku stanowiły jedno wielkie pasmo pięknych i wzniosłych doznań. Do najciekawszych zajęć w szkole należało czytanie Cycerona, Terencjusza i Wergiliusza. Mikołaj rozsmakował się w tekstach tych starożytnych pisarzy. „Eneida” Wergiliusza budziła w nim tęsknotę do wędrówek po świecie i do badania wszechświata zarazem, wspierając w ten dziwny sposób jego pasję: gwiazdziarstwo. Pod wpływem lektur sam zaczął pisać poematy, skrywał je jednak skrętnie, nie pokazując nikomu, nawet najbliższym na świecie ludziom, jakimi byli Wodka i Stach.

Prócz tęsknot za wiedzą odzywały się w tych jego lirycznych utworach jeszcze inne tęsknoty. Nie miłował dotychczas jeszcze żadnej dziewczki, nie wiedział więc, co to miłosne uniesienie. Ale wszelkie marzenia ucieleśniały się zawsze w Annie. I wielbił tę dziewczynę, która była służebną w domu jego rodziców i gardził nią zarazem, ale tak pono zawsze w miłości bywa. Wielbił za nieokiełznaną swobodę myśli i czynu, gardził zaś, gdyż z tego, co słyszał, wynikało, że nie tylko pokochała kogoś innego, lecz i dziecko mu powiła. Ale darował jej wszystko, domyślając się, że gdy pewnego dnia Anna nagle znikła z Torunia, to z pewnością powędrowała do Krakowa i może — przebrana za mężczyźnię — kształci się na królewskiej akademii? Ta myśl ekscytowała go, rozpalając wciąż od nowa tęsknotę za piękną służebnicą.

Myśli o niej zespały się zawsze z tęsknotą za Toruniem i domem. Gdy jej ulegał, odbywał w wyobraźni podróż Wisłą z Torunia do Włocławka, jak gdyby chcąc odczarować ją.

Jak to było?

Gdy kończyli z Andrzejem szkołę świętojańską, przyszła wiadomość od wuja Łukasza, że mają sposobić się do przejścia do szkoły katedralnej we Włocławku. Długo jednak jeszcze trwało, nim się te zapowiedzi ziściły. Lecz wreszcie pod koniec lata przybył pewnego dnia umyślny z listem od doktora Wodki, zawierającym polecenie, by braci Koperników przywieźć barką do Włocławka. Barka, jak się okazało, miała odejść za dwa dni, czas ten Mikołajowi dłużył się bardzo. Popędzał starą Wilfrydę i młodziutką Annę do pakowania wyprawy, do przygotowywania pożywienia na drogę. Zbiegał ze stromych schodów na dół i obiegał dookoła cały ratusz, by dysząc ze zmęczenia wrócić do domu i sprawdzić, jakie przez ten czas poczyniono postępy w przygotowaniach do wyjazdu. Wilfryda ofukała go wiele razy za tę niecierpliwość, mama ze zgrozą załamywała ręce, jedynie Anna z wyrozumiałym uśmiechem obejmowała go ramionami i przytulała do siebie.

Aż wreszcie pewnego przedpołudnia dwóch wyrostków przyszło z barki po skrzynkę i worek z tym wszystkim, co w domu przysposobiono na drogę do Włocławka. Pachołkowie wysunęli się z ciężarami naprzód, zacy szli nad rzekę z mamą, Kasią, jej mężem Bartłomiejem Gertnerem i Anną. Wilfryda i parobek zostali w domu. Mikołaj z żalem spoglądał na kamieniczki przy rynku, na ceglane zwały ratusza.

Ulice Torunia odpływały na długo, może na zawsze? Za Bramą Żeglarską powiał chłodny wiatr, choć słońce przebijało się przez zamglone niebo. Pięknie tam teraz w Kaszczorku — myślał Mikołaj, wspominając słodkie winogrona w rodzimej winnicy za miastem.

Pachołkowie z pakami zatrzymali się przy jednej z barek. Podróż bowiem miała odbywać się w górę rzeki.

Barka była obszerna i choć załadowana workami i pakami — mogli wszyscy swobodnie się pomieścić. Właściciel czekał już

na nich. Witał uniżenie mamę i szwagra, skinął uprzejmie pozostałym. Dorośli o czymś rozmawiali, chłopcy zaś zajęli się zwiedzaniem barki. Stary sternik poprawiał jeszcze liny i tylko chyłkiem spoglądał na obcych. Te liny, maszty i żagle — to było najciekawsze dla małych Koperników.

Nadeszła na koniec chwila pożegnania, chwila uścisków i pocałunków. Mikołaj czuł obręcz na gardle, lecz silił się na uśmiech. Przy pożegnaniu z mamą omal się nie rozpląkał. Potem już, z siostrą i kuzynką, było łatwiej. Dopiero gdy go objęła Anna, przytrzymał ją dłużej w ramionach i przylgnął do jej policzka, lecz zawstydził się spojrzenia matki i zaraz odepchnął dziewczynę od siebie. Choć była tylko sługą, niepokój jakiś odczuwał przy niej.

Łzy wytrysnęły mu z oczu dopiero, gdy barka ruszyła z miejsca. Właściwie tylko na początku ruszyła, a potem stanęła na środku rzeki i brzegi odpływały. Małały mury miejskie, uciekały wieże kościelne, i zdawało się, że cała rodzina płynęła razem z ziemią do tyłu.

Wycierał łzy gorliwie, by móc widzieć to wszystko. W pewnej chwili spostrzegł, że i Andrzej płacze, ale stoi nadąsany, obrócony w kierunku podróży.

Mikołaj patrzył na sosnowy las, lecz myślał o tym, co żegnał, co po raz pierwszy w życiu pozostawiał za sobą na długi czas. Mijali i Kaszczorek, w miejscu gdzie Drwęca łączyła się z Wisłą. Na stromych zboczach rzeki, wystawionych do słonecznej, południowej strony świata, rozłożyły się winnice. Tu — w Kaszczorku — rodzice mieli ogromny ogród z winnymi polami i wiejskim domkiem, zamieszkałym w połowie przez zbiegłego chłopca pańszczyźnianego Tomasza z żoną i dwójkiem dzieci.

Przyjeżdżali tu każdej niedzieli i w każde święto, niekiedy nawet na dwa — trzy dni. Sadowili się na dwukonnym, słomą lub sianem wymoszczonym wozie. Jesienią, gdy winogrona już dojrzewały, zbierało się je w kosze, by w domu zrobić moszcz win-

ny. Mikołaj przepadał za nimi i pełnymi garściami pchał do ust krągłe, zielone perły, rozpływające się w ustach cierpkawą nieco słodyczą.

W drewnianym domku Kopernikowie mieli obszerną izbę i ogromną letnią kuchnię, lecz gdy wiosną i jesienią, w okresach nawału ogrodowych robót, pozostawało się czasem z mamą i na cały tydzień, dzieci sypiały po prostu w sianie na strychu; należało to do największych rozkoszy — rozkoszy tej miary, co krzątania przy koniach.

Pluskała potem woda, rozbijana dziobem barki, Kaszczorek pozostał już daleko w tyle, a na brzegach Wisły pojawiały się inne, obce wioski, nadchodził obcy, nieznany świat. Po obiedzie chłopcy — życi już z załogą — pomagali jej w pociąganiu i luzowaniu lin, mocujących żagle. Gdy zaszło słońce, zakotwiczone opodal brzegu statek. Spędzili na nim noc.

Drugiego dnia ranek wstał mglisty ale pogodny. Brzegi rzeki rozlewały się nisko i przeważnie gęsty las ciągnął się dookoła. Czasem wyłaniały się wioski i pola uprawne z pracującymi na nich ludźmi lub łąki z pasącym się bydłem. Rybitwy krążyły w górze i tylko raz po raz któraś spadała lotem kamienia, by po chwili wznieść się w powietrze z rybą w dziobie. Po niebie ciągnęły ptaki to w jedną, to w drugą stronę, a ludzie dawali sobie znaki rękami i pokrzykiwali głośno. Aż wreszcie około południa jeden z wyrostków zawołał: — Włocławek!

Zwrócili się w tę stronę. Rzeczywiście, ukazały się domy i wieże podobne do toruńskich, choć było ich mniej. Mikołaj przyjrzał oczy i wpatrywał się uporczywie w miejsce, w którym miał spędzić następne lata swego życia. Lecz walczył w sobie z ogarniającym żalem. — Będę się uczył, uczył — powtarzał sobie w duchu — dobrze się uczył, żeby w przyszłości sam sobą kierować.

Ale oto włocławski port nadpływał ku nim. Stało w nim zaledwie kilka rybackich łodzi, na brzegu krzątało się niewiele

osób. Niestety, nikt ich nie oczekiwał i na myśl o tym Mikołaj niespokojnie pochwycił rękę brata, by poczuć się bezpieczniejszy.

Barka uderzyła burtą o brzeg. Przycumowano ją. Bracia patrzyli niemo na ludzi i wtedy dostrzegli, że ktoś daje im znaki ręką. Był to żak jakiś. Gdy właściciel statku zstąpił na brzeg, żak wskoczył na trap i już był przy nich. Powiedział donośnym głosem: — Więc to wy jesteście Andrzej i Mikołaj, siostrzeńcy wielebnego Łukasza Waczenrode. Mnie tu przysłał pan doktor Mikołaj Wodka, zwany także Abstemiusem. Będziecie u niego mieszkali. Gdzie są wasze rzeczy?

Mikołaj popatrzył mu prosto w oczy i doznał ulgi, bo te oczy napełniły go ufnością.

Nie zawiódł się. Tamten żak w daleki już co prawda świat poszedł, lecz znaleźli się we Włocławku przyjaciele, którzy stali się mu ostoją w tęsknocie. Abstemiusa pokochał jak ojca, uczył się od niego żyć i myśleć. Stach zaś był dlań młodszym bratem, z którym dzielił się zdobyczami umysłu. I z jednym, i z drugim prowadził zapamiętałe dyskusje.

Znaczne postępy poczynił Kopernik w gwiazdźciarstwie, w tej dziedzinie najczęściej doktorowi Mikołajowi Wodce zawdzięczając, który nie tylko rozmowy z nim toczył oraz pisma i tablice Ptolemeusza pokazywał, lecz także zabierał go wieczorami na krużganek zamkowy. Stamtąd roztaczał się rozległy widok na równinę kujawską i wstęgę Wisły, a niebo wydawało się czystsze niż z dołu. Najwięcej obserwacji dokonali w bezchmurnej nocy zimowej. Mroźny wiatr szalał czasem na górze, ale oni uparcie wspinali się po schodkach i drabinach, a potem otulali się kożuchami, a na ręce kładli grube łapawice futrzane.

Prędko nauczył się Mikołaj odczytywać zegar gwiazdny. Przeciągał w wyobraźni linię prostą od gwiazdy polarnej do najbardziej na zachód położonej z gwiazd konstelacji Kasjopei i według tej wskazówki godziny nocy odczytywał, oznaczywszy w wyobraźni swej niebiosa cyframi, wstępującymi od gwiazdy

polarnej w lewą stronę, ku zenitowi. Cieszył się, że zgłębił jedną z tajemnic niebios, dostępną tylko ludziom uczonym — wspaniały świetlny czasomierz, pokazujący godziny z niechybną dokładnością. Gdy go czasem nachodziła niewiara w sens astronomicznej nauki, przywoływał w gwiezdną noc Stacha, którego nauczył sztuki oznaczania czasu i pytał go: — No powiedz, która godzina? A otrzymawszy odpowiedź zgodną z własnym wyliczeniem, wzdychał z ulgą i szeptał: Człowiek jest mądry. Warto żyć.

Kiedy indziej znowu, stojąc z Abstemiusem na górze, mówił:

— Dobra to rzecz, gwiezdny zegar, ale w nocy ludzie śpią. Nie byłoby to dobrze dzienny zegar zrobić? Mają już w niektórych miastach *cadran solis*, wypadałoby włocławianom taki sprawić, żeby każdy, przechodząc obok niego, z łatwością odczytał dokładny czas. Trudna to sztuka?

— Nie taka znowu trudna. Miejsce tylko trzeba wybrać stosowne, obliczeń trochę dokonać i pomiarów, znaleźć odpowiednie materiały i robić. Wiesz, imienniku mój, to dobra myśl.

— Katedrę właśnie odnawiają — podchwycił Mikołaj. — Gdyby tak przy okazji, na południowej ścianie...

— Sprytny jesteś — przyznał doktor z podziwem. — To już myśl nie tylko dobra ale i realna.

Najbardziej związały ich obu nadzwyczajne zjawiska niebieskie, które objawiały się jeszcze przed wyjazdem Andrzeja. W samą wigilię Bożego Narodzenia nastąpiła koniunkcja dwóch wielkich planet: Saturna i Marsa. Wodka spodziewał się tego wydarzenia i w stosownej porze zaprowadził grono konfratrów tudzież samego biskupa na najwyższy krużganek murów zamkowych. Mikołaj pozostał na dole i ze Stachem w ciżbie dworzan biskupich obserwował niebo, udzielając zebrany objasnień. Dwie błyszczące planety zeszyły się na niebie, budząc wielki podziw obserwatorów. Wysnuwano z tego faktu wróżby, przeważnie niepomyślne.

Natychmiast po wyjeździe Andrzeja, niemal w rok po koniunkcji Saturna i Marsa, rozbłysła na niebie kometa budząc jeszcze większy niepokój. Krótki przelot ciała niebieskiego z ognistym pióropuszem, przez niewielu tylko dostrzeżony, wstrząsnął Mikołajem i przejął go zabobonnym strachem. Gdy jednak jego wychowawca na żądanie biskupa powtórzył straszne przewidywania — takie same jak te przed rokiem, które się nie sprawdziły — uspokoił się. Zaczął traktować astrologiczne wróżby i horoskopy jako zabawę.

Następne godne podziwu zjawisko obserwowali przed kilkunastu dniami, jeszcze w czerwcu. Oto planeta Wenus w samo południe świeciła na niebie, w biały dzień, pomimo rażącego blasku Słońca. Jak to być mogło?

Wspominał Mikołaj te i inne wydarzenia, gdy wreszcie latem, nakłoniwszy Abstemiusa do wykonania zegara słonecznego na ścianie katedry, stał w słońcu na rusztowaniu.

Pomagał już swemu nauczycielowi w pomiarach i obliczeniach. Zgłębił już wiedzę o strukturze wszechświata. Wiedzę zresztą, o dziwo, niezmienną od stuleci, a więc, jak sądził, albo niewzruszoną albo przestarzałą. Doktor i młodzi magistrzy z wrocławskiego studium *particulare* raczej ten ostatni sąd wyznawali.

Środek wszechświata stanowiła według tych poglądów Ziemia. Sfery ponad nią były jednak doskonalsze. Twierdzono, że planety i przejrzyste sfery, w których one się toczą, zbudowane są z materii doskonałej, z piątej po ziemi, wodzie, powietrzu i ogniu substancji, z najczystszej kryształu. Znajdują się one w stałym ruchu, a jest to zawsze ruch kołowy, bo tylko ruchy kołowe i ich kombinacje są wiecznotrwałe, a przy tym doskonałe.

Sfery Księżyca, Merkurego, Wenery, Słońca, Marsa, Jowisza i Saturna układają się jedna w drugiej, a ponad nimi znajduje się sfera ósma, zdobna świecącymi gwiazdami, okrążająca Zie-

mię w zawrotnym pędzie ze wschodu na zachód w ciągu jednej doby. Przestrzeń między sferami wypełnia eter — najsubtelniejszy z żywiołów, poprzez który sfera ósma przekazuje swój obrót wszystkim pozostałym. Mówią jeszcze o dziewiątym i dziesiątym niebie, ale powyżej dziesiątego panuje wieczny spokój. To jest mieszkanie Boga, o którym już teologowie nauczają.

To wszystko przypominał sobie Mikołaj stojąc na rusztowaniu i mozołnie dłubiąc w narzuconym przez swego mistrza tynku. Abstemius musiał na chwilę odejść, ale nie wracał już przez dłuższy czas, widocznie coś ważnego zatrzymało go.

— Siedem sfer planetarnych to kręgi kosmicznej harmoniki, siedem strun harfy, na których cudowną melodię głuche są uszy śmiertelnych — powtarzał Mikołaj słowa Pitagorasa i marzył o tym, by tę boską muzykę usłyszeć.

— Co tam bredzisz? — usłyszał tuż za sobą i nagle się odwróciwszy omal nie spadł z rusztowania.

Zetknął się twarzą w twarz ze swym wychowawcą. Ten stał przed Mikołajem i rękawem ocierał pot z czoła. Znać było po nim zmęczenie.

— Waszmości długo nie było — powiedział Mikołaj i dopiero wtedy poczuł, że jest także całkiem spocony. Popołudnie było upalne, lipiec doskwierał na dobre i pracujący przy odnowie katedry pozrzucali z siebie odzienie. Ani kanonikowi ani żakowi to nie uchodziło.

— Chodź na dół — zaproponował kanonik. — Mam tam korszyczek jabłek, wczesnych jabłek, to nimi pragnienie ugasisz i zarazem odpoczniesz trochę w cieniu. Ja też znużony jestem, biega człowiek stale za tym gospodarstwem. Żniwa w pełni.

Leżeli w trawie, w cieniu kościelnych murów. Mikołaj nie pierwszy raz rozmyślał o tym, że kanonicy najwięcej czasu trwonią na gospodarstwo. Bez przerwy zabiegają o dochody z należnych im folwarków i zbierają pieniądze, których i tak nie wezmą do grobu. Przeważnie pomagają rodzinom, lecz mimo to

wiele bogactwa pozostaje dla nich samych. Kanonik Wodka stosunkowo najmniej tym sprawom poświęcał czasu, lecz nie mógł się przecież od nich uwolnić całkowicie.

Nie wrócili już tego dnia do roboty. Po wypoczynku obejrzeni tylko swą dotychczasową pracę. Mistrz, narzuciwszy na duchowną szatę murarski fartuch, własnymi rękami otynkował tę część ściany, a potem również kładł farby. Uchodził za biegłego w sztuce malowania al fresco, której nauczył się w Italii. Część malowideł we wnętrzu kościoła była jego dziełem.

Cadran solis niewiele już wymagał uzupełnień. To co pozostało do zrobienia — to były już niemal tylko kosmetyczne zabiegi. Pod obrazem przedstawiającym Słońce rozchodziły się na kształt promieni linie, oznaczone dwunastoma cyframi arabskimi. Na obwodzie ręka malarza umieszczała różne figury: koziorożca, barana, byka, centaury strzelającego z łuku do tej i innej jeszcze zwierzyny gwiazdnej. Powyżej, na specjalnie do tego przeznaczonym polu, miał być wypisany ośmiowiersz łaciński, ułożony przez Wodkę, objaśniający, jak należy posługiwać się zegarem. Mikołajowi najbardziej podobał się ten fragment tekstu, który głosił, że: „Cień po prawej wskazuje, ile godzin dnia minęło. i przypomina ci, że życie twoje upływa”.

Spotykali się na rusztowaniu przez kilka jeszcze popołudni, a widok ich i zegara ściągał coraz więcej gapiów. W dni słoneczne i mniej chmurne można było już odczytywać według słonecznego cienia dokładny czas. Doktor Wodka burknięciem odpowiadał ciekawskim, Mikołaj jednak każdemu cierpliwie objaśniał, na czym cały mechanizm polega i jak z niego trzeba czytać. Ludzie z uznaniem kiwali głowami i dziwowali się ludzkiej pomysłowości. Takiego czegoś Włocławek jak świat światem nie widział.

Któregoś czwartku Abstemius powiedział, schodząc z drabiny:

— No, jutro ostatnie pociągnięcie pędzlem. Jak w niedzielę tłum na mszę zwali, zegar będzie lśnił z daleka.

Rzeczywiście, w piątek pozostało już tylko ostatnie literki dostawić, gdzieś poprawić coś pędzelkiem, wypucować metalowe części przyrządu. Nie trwało to już długo. Zegar był naprawdę wspaniały. Gdy zeszli na dół, kanonik zwołał zaraz najemników i kazał im rozebrać rusztowanie, a narzędzia pracy odnieść do szopy. Leżeli znów przez ten czas na trawie, a mistrz wpięty wypytywał Mikołaja o plany na najbliższą przyszłość.

I jedno i drugie było jasne. Egzaminy zbliżały się ku końcowi, wykładów już prawie nie było. Zanościło się na to, że najdalej za kilkanaście dni Mikołaj opuści Włocławek.

— Wpierw chyba popłynę przygodną barką do Torunia, by mamę, Gertnerów i Allenów odwiedzić. Zabawiwszy tam czas jakiś pojedę do wuja Łukasza, do Lidzbarka, po dalsze rozkazy, a po drodze może mi się uda do Chełmna wstąpić, by tam w klasztorze odwiedzić siostrę Barbarę. Sądząc z ostatniego listu wuja, wybierzemy się razem z Andrzejem na studia do Krakowa. Wuj tymczasem będzie na nas łożył, a przy najbliższej okazji zamierza nas obu uczynić kanonikami warmińskimi, w ten bowiem sposób mielibyśmy być zapewniony i studia zagwarantowane.

Abstemius słuchał z zamkniętymi oczyma, jak gdyby spał. Mikołaj także, skończywszy mówić, przymknął oczy i wypoczywał w milczeniu.

Gdy pacholek dał znać mistrzowi, że rusztowanie zostało już usunięte i narzędzia odniesione, podnieśli się z trawy. Wrócili pod ścianę katedry i ujrzeni swoje dzieło w całej okazałości. Lśniło barwami, cieszyło oczy kunsztem linii i plam.

Słońce świeciło jeszcze i Mikołaj mrużył oczy patrząc na zegar słoneczny. Odczytawszy ów fragment wiersza, mówiący o upływananiu życia ludzkiego, powiedział:

— Czy przetrwa to na tej ścianie choćby wiek?

— A może i kilka — odparł kanonik.

— Ogromna mnie radość rozpiera, gdy wspomnę, że mnie już

na świecie nie będzie, a to nasze wspólne dzieło pozostanie jeszcze ku pożytkowi potomnych. To chyba najwyższe szczęście przeżyć w dziele samego siebie. Wasza wielebność może być szczęśliwy, bo napisał kilka dzieł naukowych, które na wieki rozślawią jego imię.

— Tak — potwierdził Wodka. — Przyznam ci się, chłopcze, że najwięcej zadowolenia daje to, co ma szansę przetrwania. Ot, głupie ludzkie dążenie do nieśmiertelności. Głupie i grzeszne — odpowiedział.

— Bóg stworzył przecież człowieka na obraz i podobieństwo swoje. Jeżeli jest nieśmiertelny, to nic dziwnego, że i człowiek tego samego pragnie.

— Vanitas vanitatum — odpowiedział Wodka i zaczęli iść w stronę kurii.

W biskupiej stolicy

Siedziba biskupów warmińskich zrobiła na Mikołaju ogromne wrażenie. Miasto jak miasto, nieco inaczej było co prawda zbudowane od Torunia, ale właściwie podobne doń, do Włocławka, Chełmna i innych, widzianych po drodze. Zamek za to był w Lidzbarku potężny, czworoboczny, z wieżyczkami w narożnikach, otoczony fosą. Lecz zwodzony most był akurat opuszczony. Mikołaj łatwo porozumiał się ze strażnikami. Gdy usłyszeli, że z siostrzeńcem biskupa mają do czynienia, zaraz o jego przybyciu zameldowali burgrabiemu. Nie trzeba też było długo czekać, nim sekretarz biskupi czyli rodzony brat Andrzej zjawił się, wprowadził gościa na dziedziniec zamkowy i powiódł do gościnnej komnaty. A kiedy siedli już, powiedział z przejęciem:

— Niecierpliwie ciebie oczekiwałem, bracie. Raduję się szczerze, że razem pojedziemy do Krakowa na studia. Nie chciałbym długo przy wuju siedzieć. Twardy to człek, pełen wymagań, trzymający wszystko w żelaznej dyscyplinie, bezlitosny dla siebie i innych, dla przyjaciół i wrogów, a najbardziej dla Krzyżaków, których nienawidzi z całej duszy. Chodzą mu po głowie myśli, żeby ich z Prus gdzieś na Podole przeciw Turkom czy Tatarom wykurzyć.

— Ależ Andrzej — mitygował go Mikołaj. — Wuj Łukasz jest na pewno surowy, lecz nie jest taki, jakim go malujesz. To ty może trochę do zbytnej swobody a czy nie nawet swawoli przywykłeś? Nie myśl, że mam ci cokolwiek za złe, nie. Rozumiem, że chciałbyś być wolnym, swobodnym ptakiem; mnie też

różne takie myśli chodzą po głowie. Ale trzeba wolności używać w miarę i stawiać jej granice.

— Pouczasz mnie, jak smarkacza — powiedział Andrzej z goryczą. — A przecie ja prawo starszeństwa mam. Zdaje się, że nie tylko z wujem, lecz i z tobą nie znajdę wspólnego języka. Jesteś podobny raczej do niego niż do mnie, swego brata. Nic tylko księgi a mądrości ci w głowie. A teraz takie prądy na wielkim świecie idą, by używać życia, póki ono trwa.

— Masz rację, ale używać życia można różnie. Ja go także używam, ile się da, lecz po swojemu.

I zaczął mu opowiadać o obserwacjach nieba, o zjawiskach nadzwyczajnych, o ciekawych księgach gwiazdziarskich, o zegarze słonecznym we Włocławku, o swych rozmowach z Abstemiusem. Gdy w pewnej chwili spostrzegł, że rozgadał się zbyt, zawołał:

— Mój Boże! Przecież przed oblicze wuja powinienem się stawić!

— Bądź spokojny. Do wuja posłałem meldunek, gdy tylko usłyszałem twoje imię. Zbliża się pora obiadu, więc sądzę, że wuj wezwie cię lada chwila do siebie i powitawszy, zaraz do stołu poprosi. Ale przeto czas, żebyś się obmył i przebrał w odświętne odzienie.

Wuj Łukasz nie zasiadł tego dnia do ogólnego stołu, lecz zarządził podać obiad sobie i siostrzeńcom w jednej z komnat.

Wyglądał tak samo, jak sobie go Mikołaj przez tych kilka lat od ostatniego widzenia wyobrażał. Z całej niewielkiej tej postaci przebijały się przede wszystkim energia i siła woli. Biskup poruszał się pręźnie, choć nie nerwowo, energii bowiem towarzyszył spokój. W dostojnych jego ruchach tylko ręce wyróżniały się żywością i nie pozostawały w spoczynku ani na chwilę. W twarzy biskupa malowały się mądrość i rozważa.

Siedli przy niedużym stole. Dwaj pachołkowie podawali im potrawy. Rozmową kierował wuj. Początkowo zrzędził, dopiero

później rozjaśnił się, gdy Mikołaj zdał pomyślne relacje z miniego roku w studium particulare. Wreszcie o sobie mówić zaczął:

— Jak owca między wilkami tu siedzę, bądźcie wy chociaż dla mnie ludźmi. Niepokój stale na tej ziemi. Zgnieciony pokojem toruńskim gad krzyżacki podnosi stale łeb i granice Warmii narusza. Kanonicy przeważnie lekce sobie wszystko ważą, póki ich domy i folwarki całe. Urzędnicy patrzą, żeby zgarniać dobytek pod siebie. Sołtysi odzierają ze skóry chłopów. Służba leni się. Król, którego łaski poprzednio doznawałem, obraził się na mnie, żem mu siadł na stołek, który królewiczowi przeznaczał. Na mnie, który tu o dobro Korony biję się każdego dnia! Taka, widzicie, jest moja sytuacja. Król mnie krnąbrnym mieni, a Krzyżacy diabłem wcielonym. A tu jeszcze siostrzeniec własny, zamiast mi pomagać, leni się, w gąsiorze się kocha i lata za dziewczkami podejrzonej konduity.

Cisza zapanowała na chwilę, jedli w milczeniu, żaden z młodych nie śmiał odezwać się. Andrzej spoglądał w miskę i udawał, że nic się nie stało. Wujowi widać jedzenie dobrze zrobiło, bo dopiero talerz uprzątnąwszy i psu wielkiemu rzuciwszy kości, odezwał się w stronę Mikołaja:

— No, gadaj, co tam we Włocławku? W Toruniu? O czcigodnym Mikołaju Wodce mi gadaj, o ekscelencji Piotrze z Bnina, o innych znajomych i przyjaciółach, o rodzinie przede wszystkim.

Mikołaj tedy zaczął opowiadać, płacząc się, bo nie był pewien, co wuja bardziej interesuje, co mniej. Długo trwała ta relacja, przerywana pytaniami wuja. Pytania zaś były podchwytliwe i Mikołaj dobrze wiedział, że wujowi nie tylko o wiadomości chodzi, lecz również o wybadanie jego poziomu umysłowego i stopnia wykształcenia. Toteż dłużej nad gwiazdziarskimi rozmowami z Abstemiusem się zatrzymał i streściwszy jak najkrócej, jakie to nowe teorie powstają, opisał pracę przy zegarze sło-

necznym. Wiedziony ambicją, starał się błysnąć przed wujem, lecz z drugiej strony bał się, by sobie władca Warmii nie upatrzył w nim nowego sekretarza, przekreślając tym samym perspektywy krakowskich studiów. Jednak rychło przekonał się, że obawy te były płonne, że wujowi zależy na wykształceniu siostrzeńców. Miał widać bardziej dalekosiężne plany.

Rozmowa przeciągnęła się aż do zmroku. Łukasz Waczenrode nikogo nie przyjmował.

— Wydorosłaś, Mikołaju, zrównałeś się z Andrzejem — powiedział w pewnej chwili. — A jestem przekonany, że wiedzy masz więcej od niego i charakter lepszy. Widzisz, Andrzej, nie starszeństwo wiekiem jest najważniejsze. Na całe życie musisz sobie zapamiętać, że starszeństwo stanu i urzędu, starszeństwo mądrości i dobrej sławy jest pierwsze przed starszeństwem wieku. Niestety, najstarszy nawet sługa najmłodszego pana słuchać musi. Tobie radzę, byś z Mikołaja przykład brał.

Mikołaj słuchał tych słów ze smutkiem. Wiedział, jak one gniewają Andrzeja. Niepokój go ogarniał, gdy wyobraził sobie, co to będzie w Krakowie, bo wuj wreszcie w ostateczny sposób zapowiedział im, że za tydzień wyruszą do stolicy, by w sławnej polskiej uczelni ukończyć fakultet nauk wyzwolonych, a co dalej — o tym pomyśli się później. Udadzą się z Lidzbarka do Torunia, stamtąd do Krakowa barką. Gertner im tam statek odpowiedni upatrzy, a o koszta martwić się nie potrzebują.

Pozostał jeszcze jeden problem nie rozstrzygnięty. Wuj Łukasz miał w Krakowie licznych przyjaciół i zastanawiał się, czyjej opiece powierzyć siostrzeńców. Nie miał też jeszcze wyrobionego sądu co do tego, czy wypada jedną osobę obarczać obydwoma chłopcami, czy raczej każdego oddać w inne ręce.

Mikołaj skwapliwie skorzystał z odpowiedniego momentu, by powiedzieć:

— Polubiliśmy się bardzo z wujem Maciejem, gdy ostatni raz był w Toruniu, dowiedziałem się od mamy, że ożenił się niedawno.

— Maciej? — zastanawiał się biskup. — A któryż to?

— Wuj Maciej Szyling, krakowski mincerz.

— Ach, to ten, co przez Krystynę Allenową z nami jest spowinowacony. Owszem, szanuję go, a to nawet w ogóle niezła myśl, by was krewnym lub powinowatym oddać pod opiekę — mówił biskup z wielkim zadowoleniem.

— Gertner, Kasi mąż, w Krakowie ma dwóch braci — powiedział Andrzej. — Mógłbym ja u jednego z nich zamieszkać.

I ta propozycja została przyjęta z uznaniem.

— Macie rację — usłyszeli. — Nie myślałem ja do tej pory o rodzinie, bo nie zwykłem od niej brać, ale to o was przecież chodzi a nie o mnie, a ostatecznie ja płacić za wasze utrzymanie i naukę będę. Łaski więc nikt nie będzie robił. Akceptuję wasze plany. Ale ponieważ nie wiadomo, czy was ci ludzie przyjmą, dam wam jeszcze parę listów polecających zarówno na drogę, jak i do samego Krakowa. Nie chcę, by moi siostrzeńcy w jakiejś tam bursie mieszkali. Stać mnie na to. A zresztą i w akademii protekcja się przyda. Poślę więc was do kilku przyjaciół swych, do Kallimacha, starego Wojciecha z Brudzewa, Piotra Wapowskiego i innych.

Łukasz Waczenrode wydał jeszcze młodym polecenia na następnych kilka dni i w ten sposób rozmowa dobiegła końca. Pocałowali po kolei pierścień biskupa, wuj drugą rękę kładł na ich głowach.

Gdy wyszli, Mikołaja zimny strach obleciał. Szli w milczeniu przez nie kończące się korytarze i krużganki. Sługa prowadził ich ze świecami, bo było już ciemno. Andrzej wszedł z bratem do komnaty gościnnej i czekał, aż wyjdzie sługa.

Siedli na przeciwległych ławach i patrzyli na siebie w świetle migocących płomyków. Pierwszy odezwał się Andrzej:

— Dobrze to wymyśliłeś, żebyśmy w Krakowie mieszkali osobno. Nie mogłeś lepiej dla mnie uczynić. Ale powiedz, czy chciałeś wujowi Maciejowi Szylingowi ulżyć, czy mnie się pozbyć?

Mikołaj widział jego zacięte usta. Powiedział:

— Przyznam ci się szczerze: miałem i jedno i drugie na myśli. Andrzej poruszył się gwałtownie.

— Poczekaj — powstrzymał go Mikołaj. — Źródłem propozycji mej była myśl, że to ty wolisz żyć beze mnie. Ja chętnie pozostawałbym z tobą w braterskich stosunkach, lecz ty lubisz niezależność, masz swoje namiętności i przyzwyczajenia. Nie chcę ci po prostu wadzić.

— Starszeństwo moje musisz uznać — powiedział tamten wstając. Skierował się ku drzwiom. — Słuchać mnie powinienes, smyku! Mańkucie! — dodał ze złośliwym uśmiechem.

Otworzył drzwi i spojrział jeszcze raz w oczy Mikołaja. Ten wstał pośpiesznie, wyciągnął ręce przed siebie, mówił:

— Uznaję starszeństwo, Andrzej, gdybyś jeszcze tylko ty sam chciał je uznać...

Ale były to słowa w próżnię. Tamten trzasnął drzwiami i już go nie było.

Mikołaj stanął bezradnie, opuścił ramiona. Patrzył w migocące płomyki woskowych świec.

A gdy potem leżał w łóżku, zastanawiał się nad tym, dlaczego o wuju Macieju powiedział podczas rozmowy z wujem Łukaszem, choć widział go tylko jeden raz w życiu i to bardzo dawno.

Było to już po śmierci ojca, gdy młodziutki artysta przyjechał z Krakowa do Torunia. Mimo młodego wieku był mężczyzną okazałej tuszy, o okrągłej, pogodnej twarzy, ozdobionej piękną, kędzierzawą brodą i rudziejącymi lokami.

Ogromna ciekawość napełniła Mikołaja, gdy Szyling opowiadał o stolicy i o swej pracy.

— Kraków to jest miasto — mówił do ojca, poważnie ruszającego swym długim, cienkim wąsem. — Jedyne dla mnie miasto, w innym żyć bym nie potrafił. Popyt na wyroby złotnicze i snycerskie jest tam wciąż wielki. Ale ja zaczynam specjalizować się w sztuce medalierskiej, to coraz bardziej popłaca,

a w przyszłości pozwoli mi może dostać się do mennicy królewskiej. Wyrzeźbiłem niedawno medal z podobizną Dantego, poety, który w Italii nowe życie zwiastował. Bardzo się wszystkim mój medal podoba, ale nie sprzedaję go, jeno noszę przy sobie. Puszczę się jeszcze w podróż po świecie i dopiero potem zacznę szukać sławy, tak zawsze znakomici mistrzowie czynili, może więc i mnie się poszczęści.

— A pokażcie ten medal z Dantem — przerwała mu mama.

Gość wysupłał z zakamarków odzienia — a odziany był bardzo strojnie — błyszczące, połyskujące metalicznie koło i podał je mamie. Ta ważyła je przez chwilę na dłoni. Kasia zaś, zobaczywszy wizerunek wyrzeźbiony na metalicznym kole, nachyliła się z ciekawością.

— Na Boga! — krzyknęła. — Twarz jak żywa i ornament precudny dookoła.

— Sam to tak potraficie, kuzynie? — spytała mama i otworzyła szeroko usta.

Medal był rzeczywiście przepiękny. Głowa mężczyzny zwieńczona została liśćmi wawrzynu, a dookoła napis, którego wyrazy przeplatane były trójlistnymi gałązkami bluszczu.

— Trójlistna gałązka bluszczu, otoczona kołem, jest moim herbem — wyjaśnił wuj — wybrałem ją sobie jako ornament.

I z tym wyobrażeniem — wyobrażeniem gałązki bluszczu i twarzy okolonej rudziejącymi lokami — zasypiał Mikołaj w ciemnej komnacie lidzbarskiego zamku.